

Wychodzą we Lwowie we *Wtorek*, *Czwartek* i *Sobotę*. Prenumerata roczna 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartał. 1 Złr. 30 kr. miesięcznie 30 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr. — półrocznie 4 Złr. — kwartalnie 2 Złr. m. k. — Ryciny mód kwartalnie 1 Złr. 20 kr.
Bióro ekspedycji w księgarni **H. W. Kallenbacha.**

Nowiny

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziale za jednorazowe umieszczenie w głównym dzienniku po 4 kr. za następne po 2 kr.; w dodatku po 3 kr. za następ. po 1 1/2 kr. i za dopłatą 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie.

2. Lutego 1856.

N^o 15.

Rok trzeci.

Sierota wielkiego świata.

IV.

(Ciąg dalszy).

Kilka dni po owem zdarzeniu siedział Gustaw w wytwornie urządzonej pokoju przed dużym zwierciadłem i kończył ranne swoje ubranie. Za nim stał lokaj hrabiego i podawał mu potrzebne do ubioru rzeczy.

Otworzyły się drzwi i wszedł Adolf.

Gustaw kazał odejść lokajowi, a bratu przysunął fotel.

— Co dzień to nowe widzę rzeczy w twoim pokoju, przemówił Adolf, widać, że jakiś duch opiekuńczy zajmuje się tobą.

— Muszę oddać słusność hrabiemu, odpowiedział Gustaw, że gościnność jego przechodzi moje oczekiwanie. Oglądaj się po tym pokoju, a obaczysz, że miano względem na wszystkie drobnostki wyższego komfortu. Otóż dostałem i melodikon, który jest własnością panny Ofelii. Nie uwierzysz, jak mię to ujmuję. Tak pokochałem tych ludzi, że bym dzisiaj życie dał za nich. Przyznaj sam, że w tych drobnostkach więcej małuje się życzliwości dla mnie, niżeli w długich perorach kapitana i rnbasznych sentymentach starego Jakuba.

— Jest to tylko różnica w zapatrywaniu się na świat, mój bracie. Kapitan mieści w swem sercu to wszystko, co mogą wyrażać owe drobnostki. Trzeba tylko umieć patrzeć w serce... Ale cóż się dzieje z malarzem?

— Ot jak warjat. Mówi o rzeczach niestworzonych w których żadnego sensu domać się nie można. Poczciwy Przyręba siedzi przy nim dzień i noc. I żydzisko musi być niezłym człowiekiem, bo na przemian z Przyrębą go stróżują. Ofelia mocno się za nim ujmuję. Dokazała u hrabiego, że go z lochu do oficyn przeniesiono, a żyd odstąpił mu swoją izdebkę.... *A propos*, czy byłeś dzisiaj w kościele idąc tutaj?

— Byłem, odpowiedział Adolf i spojrzał w oczy Gustawa. Na cóż się o to pytasz?

— Ot tak, pytam się, bo wiem, że co rano bywasz w kościele... Wczoraj na prośby Ofelii posłano po lekarza do miasta. Lekarz jak słyzałem, mówił o tym malarzu, że jest istotnie obłąkany, a co może być skutkiem nałogu, któremu się oddaje.... Czy Ofelia była w kościele?

— Codziennie rano ją tam zastaję.. Czy sądzisz że słusnie lekarz mówi?

— A jużcić że słusnie, bo innej przyczyny nie znam. Że jest pijakiem, o tem mówi cała okolica.. Gdyby był coś porządnego, to by to po nim widać było. Obdarty, brudny, niechlujny, nierozumie dla czego Ofelia tak nim się zajmuje!

— Widzisz Gustawie, że instynkt czasem lepiej nas wieździe niżeli nauka. Ofelia idąc za instynktem czuwa nad nim, a ty, wyuczysz się wszelkich systematów psychologii, na które tylko rozum mógł się zdobyć, ty go potępiasz! Może być że się pijaństwu oddaje, ale obłąkanie jego nie musi być koniecznie skutkiem tego nałogu, może właśnie nałóg ten jest skutkiem jakiejś....

— Jakiejś tajemnicy okropnej? przerwał Gustaw i wstał z krzesła.

— Jakiegoś zdarzenia, jakich jest wiele w życiu ludzkim, a na które nie zawsze świat zważa.

— Nie, nie! Ofelia miałaby na tyle rozsądku...

— Na dziwne domysły wpadasz Gustawie. przerwał Adolf z uśmiechem, i widzę że cię to irytuje. Że warjat jakąś miniaturę dał dziewczynie, która swojej matki nie znała, a ona to za jej portret bierze, cóż w tem dziwnego? Właśnie to znamionuje obłąkanego.

Gustaw przestał chodzić po pokoju i usiadł na krześle. Mimo wszelkiej usilności nie mógł ukryć wzruszenia jakimi uległ w tej chwili.

— Zdaje ci się, mówił dalej że mnie jakieś dziwaczne przypuszczenie irytować może. I słusnie. Nie powinienś jednak mylnie sobie tego tłumaczyć. Jesteś tak samo młodym jak i ja, i wiesz dobrze, że w naszym wieku obok wszelkich innych ideałów żyje w marzeniach naszych ideał kobiety. Tego ideału szukamy po wszystkich drogach życia naszego, szukamy go w salonie i na ulicy, w sklepie modniarki, przy fraszkach światowych i na stopniach ołtarza przy modlitwie, ale szukamy go bez żadnej myśli światowej. Są to tęczowe mgły przesuwające się przed źrenicą ducha, na które tylko zdala patrzeć możemy. A przecież ujrawszy raz taką kobietę, zdaje nam się, że ją dobrze z bliska znamy. Widziałem naprzykład panną Ofelię, a chociaż na wzrok mój za daleko jest jeszcze odemnie oddalona, znam ją jednak tak dobrze, jakbym stał koło niej. A wiesz dla czego? Oto jest ona jednym z tych ideałów kobiety, jakie sobie wymarzyła każda młoda wyobraźnia. Widząc ją zdaje się, że cię coś znajomego spotkało, że się odszukało jakiś klejnot przed chwilą zgubiony... a wtedy smuci nas i martwi, jeśli na tym odszukany klejnocie obaczymy skazy i plamy!

— Ach mój ty Gustawie, prawisz mi jak profesor z katedry. Niestatek serca, chcesz wytłumaczyć logiką prawdziwie niemiecką, lecz niewiem, co cię do tego zmusza? Serce jest to dziedziczny lecz zły dyspozytor na majątku swego pana. Źle radzi, zaciąga długi na lichwę i kończy tem, że ktoś z wierzycieli w drodze licytacji posiedzie go wraz z nadwężonym majątkiem.

— Cóż to przyrównanie znaczy?

— Znaczy to, że ożenienie się według dzisiejszych wyobrażeń niczem innym nie jest jak licytacja siebie samego, a ta nieustanna zmiana ideałów naszych, za którymi po salonach i ulicach biegamy, pochodzi ze zmiany właściwej naszej wartości. Przyznaj się Gustawie, że pierwszym ideałem twoim była niegdyś skromna, miła dziewczynka z polnym kwiatkiem we włosach. Postępując wyżej w towarzystwie, zmieniłeś stopniowo ideały twoje: a miejsce dziewczynki zastąpiła dama z kolją smaragdową. Dzisiaj niepodobna jest tobie kochać się bez smaragdów i djamentów, chociaż ci wierzę, że przy djamentach można z tym samym ogniem kochać, z jakim się niegdyś marzyło o skromnej dziewczynce!

Gustaw na to nic nie odpowiedział tylko wstał z krzesła i przystąpił do okna. Kilkanaście kroków od okna był wielki klomb leszczyny, opasany u dołu różnobarwną wstążką kwitnących astrów. Ranek był pogodny i ciepły. Zdawało się Gustawowi, że słyszy głosy kobiece. Wkrótce okazał się z poza klombu czerwony płaszczyk Jadwigi, a za nią szła w ciemnym ubraniu Ofelia. Rozjaśniło się oko Gustawa, a zwracając się do brata rzekł:

— Patrz Adolfie, kilka razy na dzień, jakby na umyślnie przechadzają się pod moim oknem.

— Aby z klombu rwać orzechy, odrzekł Adolf wyjrząwszy oknem.

Gustaw odskoczył od okna, jakby go coś ukaśliło, i spojrzał złośliwie na Adolfa. Tymczasem w samej rzeczy zbliżyła się Jadwiga do klombu i poczęła rwać orzechy. Ofelia przyklękła na grządce kwiatów, i układała sobie bukiet z astrów. Gustaw chciał to niemiłe wrażenie zatrząść dalszą rozmową i rzekł:

— Mówiłeś coś o żenieniu się, i zdaje się, żeś nie skończył.

— Chciałem ci tylko powiedzieć abyś kaprysów serca ludzkiego nie podnosił do reguł życia. Mógłbyś się mocno tem zawieść, jak oto w tej chwili się zawiodłeś!

— Dotąd nic mnie jeszcze w życiu nie zawiodło, rzekł Gustaw, podnosząc głowę do góry.

— Tem gorzej, tem większy będzie kiedyś twój zawód!

— Za ciemno mówimy, mówmy otwarcie!

— Nie mam żadnej tajemnicy przed tobą, abym ją ukrywał w ciemne słowa, a od ciebie nie żądam otwartości bo wstydzilibyś się przedemną. Są chwile w życiu, gdzie oko nasze nie jest zdrowem okiem, ale mikroskopem. Dobrze jest wtedy patrzeć na świat, ale nie w zwierciadło!

— To znaczy, aby siebie wyżej nie cenić...

— Stosunki towarzyskie mierzą się na cyfry. Wchodzący w nie powinien przedewszystkiem poznać przynależną

sobie cyfrę, a znając ją, nie przerachuje się nigdy w zwykłych proporcjach towarzyskich.

— Rozumiem, rozumiem cię... a serce nie jest cyfrą, która pomnaża?..

Adolf chciał właśnie bratu coś odpowiedzieć, gdy służący wszedł do pokoju i oznajmił mu, że go hrabia w kancelarji czeka. Podał Gustawowi rękę i wyszedł.

— Zazdrości mi moich sukcesów w pałacu, rzekł Gustaw do siebie, gdy się drzwi za bratem zamknęły, i chce mię rozczarować dla tego, że sam siebie rozczarował. O serce! jak wiele egoizmu mieści się w tobie, że własnemu bratu szczęścia zazdrościsz!... On marzy o niej, a zwątpił o sobie. Tem lepiej, że nie będzie między nami kolizji.

Uspokoiwszy się tym monologiem, przystąpił Gustaw znowu do okna. Ale na gazonie nie było już nikogo. Gałązki leszczyny zgięte ręką Jadwigi, i pozbawione owoców chyliły się smutne ku ziemi. Na grządce osadzonej kwiatami, okazały się czarne bruzdy, z których Ofelja pozrywała astry do bukietu. Młody marzyciel zadumał się, patrząc na te ślady spustoszenia, które zostawiły po sobie wymarzone jego ideały. I po życiu naszym przemkną one nieraz, i zostawią takie same ślady. Jedna pozrywa nam kwiaty, druga odbierze nam owoc całego życia!

Gustaw odszedł do złotej sali.

Tymczasem toczyła się w kancelarji konferencja między hrabią a Adolfem. Hrabia w jedwabnym szlafroku pałac fajkę na długim cybuchu, siedział rozparty na kanapie, przynim na fotelu trzymając w ustach cygaro amerykańskie, siedział Adolf. Swobodna jego postać i ruchy proste, nie wymuszone okazywały, że już nieraz podobne odbywał konferencje, i że atmosfera pałacu wcale mu obcą nie była. Śród tego czasu bowiem przedstawił go już pan Alfred paniom, a nawet raz na herbatę zaprosił.

— Zdaje mnie się, ciągnął dalej hrabia konferencją, żeby wcale nie zaszkodziło, abymy tę rzecz przyspieszyli.

— Zależy to będzie od woli samej panny Ofelii.

— Przyznam się panu, że za dwa lub za trzy lata więcej rozumu nie nabierze, jak ma dotąd; chodzi tu tylko, aby ustawom zadość uczynić.

— Ustawa ma właśnie to na względzie, odpowiedział Adolf, aby osoba taka lekkomyślnie swoim majątkiem nie rozrządziła. Jeżeli jednak jest rękojmnia, że majątek w dobre przechodzi ręce, nie można wątpić, że uznana będzie za pełnoletnią. Ustawa wymaga tylko powodów takiego żądania.

— A jużciż powodem do tego jest, że dzisiejszy jej opiekun w Odessie sobie mieszka i wcale się jej wychowaniem nie zajmował. Od lat dziecinnych tuła się biedna sierota po krewnych i niekrewnych, i ma jeszcze na tyle serca, że o nich dobrze mówi, chociaż wiem z pewnych źródeł, że się z nią jak najgorzej obchodzono. Szczęściem dla niej, że trafiła na tak czułą kobietę, jak jest moja żona. Prawie więcej kocha ją, niżeli własną córkę.

— Zapewnie, tak piękny majątek, w innych rękach...

— Właśnie o to idzie, mój panie Adolfie. Ale zachodzi jeszcze jedna kwestja.

— To jest ulokowanie tego majątku.

— Aby krótko mówić, tak się rzecz ma: Ofelia jest słabowita, jak to pan możesz sam zauważyć. Jej życie te jak pajęczyna, lada wiaterek dmuchnie, a nie będziemy wiedzieli kiedy zgasła!... Słabość tę odziedzyczyła po matce a nieszczęśliwe koleje, jakie od dzieciństwa przebywać musiała, rozwinęły ją w istotny *unewryzm*. Często ma tak silne napady że się słusznie o jej życie obawiamy.

— Chodzi więc tutaj o wcześnie rozporządzenie majątkiem.

— Otóż to jest właśnie kwestja. Słusznie by było aby majątkiem rozrządziła według własnej swojej woli i według swego serca. W wypadku śmierci, coby największem dla nas było nieszczęściem, wzięli by według prawa ten majątek najbliżsi jej krewni, a na co sobie wcale przez złe obchodzenie się z nią nie zasłużyli.

— Mając wyrok pełnoletności może dowolnie sobie z majątkiem postąpić, może uczynić zapis...

— Zapis.... ale tu właśnie chodzi o formę tego zapisu. Zdaje mnie się, że forma testamentu...

— Testamentu? powtórzył Adolf odkładając na bok cygare.... na czyją korzyść?

— Na korzyść... rozumie się, na korzyść tych, którzy jej nie krwią, ale sercem są najbliżsi.

— Nie panie hrabio, toby było ta samo, co położyć jej na toalecie zamiast sukni ślubnej, koszulę śmiertelną.

— Nie, nie, pan nie zrozumiałeś mnie, odpowiedział szybko pan Alfred, myślałem tylko, że to w takim razie jest konieczna forma... Moja matka w dwudziestym roku życia swego pisała testament. Ale niemówmy o tem więcej, bo mnie samemu smutno się robi... Ja ją tak kocham jak własną córkę, i byłbym najszczęśliwszym, gdyby dobrze za mąż pójść mogła. Nawet myślę o tem, że na imieninach Edmunda coś się zawiąże. Chodzi na teraz tylko o jej pełnoletność, i trzeba te rzeczy przyspieszyć.

— Mogę zaraz z tą uczynić podanie do Lwowa.

— Proszę, proszę, zobowiążesz mnie pan. Może odwieziemy pana Gustawa i obaczmy co zrobił?

Pan Alfred wstał z kanapy, a udarowawszy gościa świeżem cygarem, wziął go pod rękę i obaj weszli do złotej sali.

Wszedłszy do niej, zastali tam dziwaczne kostiumy. Gustaw siedział na krześle, przed rozpoczęciem malowidłem. W jednej ręce trzymał paletę, a w drugiej zamiast pendzla miał ładnie ułożony bukiet z astrów. Obok niego stała Jadwiga w ponsowym płaszczku z ponsową na głowie czapeczką. Niedaleko niej, przy małym stoliku, przewracała Ofelia kartki jakiejś książki ilustrowanej. Za niemi w oknie gotyckiem, stała otyła francuzka z ogromnym czepcem na głowie, a małą robótką w ręku.

— Właśnie dobrze, zawołała Jadwiga, że pan przychodzi. Jako prawnik będzie pan nas sądził.

— A to co? zawołał pan Alfred patrząc na kostium Jadwigi.

— Jest to wielka sprawa. Wczoraj o szarej godzinie prosił pan porucznik Ofelję, aby zagrała jakąś sztukę aż w trzy B. Będąc także w salonie, i mając

także uszy do suchania, miałam równe prawo z panem porucznikiem do całej atmosfery salonu. Mogłam więc prosić Ofelję, aby nie grała. Za to pogniewał się pan porucznik na mnie i do dzisiaj dąsa się jeszcze. Proszę pana, kto z nas zawinił?

— Byłaś niegrzeczna dla gościa, rzekł hrabia z marssem na czole.

— Ależ za to poprawiłam się zaraz. Przekonawszy się że pan porucznik jest tak muzykalny, uprosiłam Ofelję, że mu od siebie pozwoliła wziąć swój ulubiony melodikon.

— Ale cóż ten strój dziwaczny na głowie znaczy? Wyglądasz jak *Fradiavolo*.

— Chciałam czerwoną czapkę pana porucznika przeprosić.

— Figle ci w głowie, *ma chere*, jakbyś dzieckiem była. Lepiej idźcie na przechadzkę do ogrodu, niżeli macie tu panu porucznikowi w malowaniu przeszkadzać. Za pół godziny wróćcie do salonu, matka ma coś wam powiedzieć.

Jadwiga skrzywiła się na to a wzięwszy Ofelję pod rękę, wyszła do ogrodu. Za niemi potoczyła się otyła francuzka, poprawiając za każdym krokiem okulary na nosie.

Hrabia oglądał i chwalił malowidło. Gustaw gniewał się na barwy i pędzle i dziwił się jakim sposobem tak lichym materiałem mógł tamten malarz wykończyć kilka wcale ładnych obrazów. Żałował bardzo, że podróżna jego szkatułka tylko do miniatury mogłaby barw dostarczyć.

Odchodząc do swoich zatrudnień pożegnał pan Alfred obu braci, zaprosiwszy Adolfa na obiad. Adolf podziękował grzecznie, wymawiając się tem, że kapitan na niego z obiadem czeka.

Pan Alfred udał się do saloniku hrabiny.

C. d. n.

Stare Wrota.

Wyjątek.

ciąg dalszy.

Tak często, gęsto, niby nie umyślnie,
Jakieś słoweczko do rozmowy weisnie,
Wiedział z kim gada, i wiedział jak gadać,
Skarga, bo ludzi przywyknął spowiadać,
Bywało zręcznie za słówka go chwyta,
Daje woźnicy wygadać się dłużej,
A z jego bająn zawsze się wynurzy
Jakaś niedola, gdzieś nędza ukryta.
Skarga dochodził po nitce pajęczej,
Gdzie jaki dłużnik, co go lichwiarz dręczy,
Kogo nękają bezbożni pieniacle,
Lub jakie bole komu serce rania,
Gdzie biedne dziewczę rozpaczliwie płacze
Stojąc nad grzechu straszliwą otchłania,
Gdzie brat ku bratu oddycha niezgodą,
Gdzie się z sąsiadem poswarki zawiodą.

A cudna powieść niebyła napróżna:
 Bo ówdzie grosza, tam serca jałmużna,
 Rzucona zręczną dłonią apostoła,
 Rozjaśnia serca, rozpogadza czoła.
 Szeliga wszystko wygwarzył otwarcie!
 Lecz była hardość w sercu tego dziada:
 Kiedy dla innych kolatał o wsparcie,
 Nigdy o własnej nędzy nie zagada.
 Bystra żrenica księdza kaznodzieje
 Rychło się wpiła w skrytą pierś Litwina:
 Niby nieznacznie pytać go poczyna.
 O dom rodziny, o dawne koleje,
 Jak to z Gasztoldem biło się niedźwiedzie,
 Co go ze służby pancерnej wywiodło?
 Czemu szlacheckie zaniechawszy godło
 Został stajennym? i jak mu się wiedzie?
 Czy na swą Litwę wrócić kiedy życzy?
 Czy jakich krewnych i przyjaciół niema?
 Z czego żyć będzie, kiedy leje woźnicy
 Już się w zgrzybiałych rękach nie utrzyma?
 Gdyby go pytał głosem jałmużnika
 W politowania smutnego sposobie,
 Pewnieby Litwin zaciął się sam w sobie:
 Bo on dla żalów piersi nie odmyka,
 Cierpi gdy nędzę wypowiedać musi,
 Chlebem jałmużny pewnie się zakrzтусi.
 Ale badany zniecka a zdolnie,
 Niby gawędząc o deszczu i suszy,
 Stary Szeliga wpadł w księdzowskie matnie,
 Wysączył przed nim każdą kroplę duszy.
 Kapłan wybadał Litwina odludka,
 Od pacholęcia, od pieluch bez mała;
 Powieść ta była i prosta i krótka,
 A jednak Skardze leżkę wywołała.

Ojciec Szeligi był szlachcic ubogi,
 Mieszkał pod Wilnem, na Litwie głębokiej,
 Miał włokę gruntu i lasu trzy włoki,
 Orał, polował i rąbał się z wrogi.
 A jak wiadomo, w Jagiellońskie lata
 Mniej było szlachty na żoździe magnata.
 Czy sejm, czy sejmik, czy rycerskie koło,
 Szlachta chowała zbożne obyczaje,
 I częściej panom stawi harde czoło
 Niż im za złoto sumienie przedaje.
 Bywało wtedy u szlachty i braciej
 Ubożej w domach lecz w sercach bogaciej.
 Swoboda była nie słowem, lecz faktem,
 Bo jej strzeżono trzeźwo, nie po pijanu.
 Jeśli kto ziemię trzymał za kontraktem,
 To jeno groszem opłacał się panu;
 Wypłacał czynsze po niedrogiej cenie,
 Na święty Marcin, lub na święty Jerzy,
 Lecz miał swobodne ramie i sumienie,
 Bo to oboje do kraju należy.
 Rzadko kto służył w nadwornej chorągwi
 U kasztelana albo wojewody;
 Doma sycono i piwa i miody,

Nie zagładając do magnackiej stągwi.
 Ojciec Szeligi, ręką pracowitą
 Karczował lasy i zasiewał żyto;
 Miał swoje stado i po lasach barcie,
 Miał pobożności i cnót w sercu wiele,
 Pościł w sobotę, chmielił się w niedzielę,
 I świętą prawdę ciał ludziom otwarcie.
 Łacińskich nauk nierozszczepiał w synie,
 Bo tylko Credo umiał po łacinie.
 Lecz za to grzotnąć niedźwiedzia z póhaka
 Lnb kosić trawę na zielonej błoni,
 Karczować pole, lub dosiadać koni,
 Dzielnie wyuczył swego jedynaka.
 A kiedy wojna nadeszła z Wołosza,
 To na nią syna wyprawił sowito,
 Kazał stać murem za Rzeczpospolitą,
 Miecz mu do boku przypasał z roskosza,
 I dusza ojca była wielce rada,
 Że stary pancерz k'piersiom mu przypada.
 Złożon do boju nasz młody Szeliga,
 Z radością oręż rodzicielski dźwiga. —
 Z pod Obertyna, gdzie zwijał się żwawo,
 Powrócił zdrowy i okryty sławą.
 Ale krom sławy nic więcej nie dopnie:
 Bo łupów nie brał, na zyski niepatrzy;
 Hetman rozdawał zaszczyty i stopnie,
 Ale tam rękę przeciągał bogatszy,
 A za bogatszym jak obyczaj każe,
 Byli rotmistrze i regimentarze.
 O tamtych czynach dobrą pamięć chowa,
 I król i hetman i karta dziejowa;
 A jego pracom któż uczynił zadość?
 Własne sumienie i ojcowiska radość.
 Dosyć mu było — zwycięzca Wołoszy
 Znów orze ziemię i niedźwiedzie płoszy.
 A gdy pan Gasztold wyprawił oblawy,
 Tak zręcznie dzika na oszczep przebodzie, —
 Że przypadł k'sercu panu wojewodzie,
 I już porzucił gospodarskie sprawy,
 Sądząc, że czegoś dosłużyć się może,
 Został myśliwym w Gieranońskim dworze.

D. n.

P i k n i k.

Ciąg dalszy.

II.

Powierzchność pana Kopra odpowiadała zupełnie jego powadze, i położeniu nieomylnemu jakie zajmował w swoim kółku towarzyskiem. Wysoki, chudy z długimi nogami, długą szyją, i nosem spiczastym, chodził powoli i sztywnie, jak gdyby, prostego używając porównania, kij połknął. Twarz była gładka, bezbarwna, bezwyrazowa, i bez włosa zupełnie, prócz jedynej na głowie blond peruki, która w rudawą wpadała barwę. Oczy miał wielkie, tej nieżnośnej blado niebieskiej barwy, co je do porcelanowych

podobnemi czyni; jedynym ich wyrazem była ciągła ciekawość, wyszczerzająca się z nich. Na ustach ściśnionych i bladych igrał uśmiech nieznośny zawsze, uśmiech chłodnej grzeczności. Dodajmy do tego, że strój jego był zawsze jednakowy. Chustka biała ogromnej objętości otulała długą szyję w zimie czy w lecie, równie jak i kamizelka po szyję zapinana, stroiła zawsze chude jego piersi. Jedyłą różnicą był w lecie frak granatowy z małemi świecącymi guzickami i długimi ogoniastemi połami, który przypominał trochę liberję i najdoskonalej harmoniował z rudą peruką.

Otóż i cały pan Koper. Co do wykształcenia zaś i całego ułożenia, był on prawdziwym typem starych kawalerów. Stary kawaler łączy zwykle w sobie wszystkie wady męża i żony, i dla tego zapewne nie bierze go chętka żenienia się. Nudny, porządny i zrzęda jak mąż, kłóci się, gdyra o każdą drobnostkę i w plotkach się kocha jak żona. Takim był pan Koper, z dodatkiem oszczędności niepospolitej. Umysłowo należał do tych którzy prochu nie wymyślili, i nigdy wymyśleć nie potrafią, co jednakże nie przeszkadzało mu być zawzięcie zarozumiałym. A że nim był, to pochodziło tak z jego położenia społecznego jak mówiliśmy nieomylnego, jakoteż z przeszłości jego całej. Dzieje jego przeszłości były bardzo krótkie.

Za młodu był on bezpłatnym i gołym dosyć praktykantem przy jakichś salinach, gdy nagle fortuna ślepa jak zwykle, zawitała do niego w postaci znacznego terna loteryjnego. Porzucił służbę, wyniosłszy z niej przybrany dobrowolnie tytuł sekretarza, i przeświadczenie o głębokim rozumie własnym, za pomocą którego umiał wybrać także trzy szczęśliwe numera. Jest to zwykły narów ludzi ograniczonych, że dar losu najwięcej przypadkowy, przypisują własnej głowie. Kapitałkiem loteryjnym umiał tak manewrować, że nie tylko wyżył z niego, ale rok rocznie zwiększał go za pomocą pewnych manipulacji w których lichewka najglówniejszą odgrywała rolę. Z zwiększającym się majątkiem zwiększała się i jego wziętość pomiędzy ludźmi, aż nareszcie przyszedł do owej nieomylności która nikogo dziwić niepowinna; każda bowiem stolica, każda część miasta, i każde kółko społeczne, miewa zawsze takiego Kopra, który wszędzie wściubi swój nos, wszystkiego się dowie, wszystko rozniesie, i przez to samo każdemu stanie się niezbędnym.

Po przywitaniach zobopólnych, obskoczyły go matka i córki, krzycząc mu w uszy:

— Panie sekretarzu! chcemy piknik wyprawić! Co myślisz o tem, powiedz nam zdanie swoje.

Sekretarz z razu nie odpowiedział, bo musia pierwej i laskę i kapelusz w zwykłym postawić kącie, a psa pod piecem ulokować.

— Piknik! wyrzekł wreszcie otwierając tabakierkę i wyciągając naprzód ciekawy swój nos.

— Ale bez pana niepotrafiłybyśmy.

Sekretarz zażył silną szczyptę tabaki, i skromne na podłogę spuścił oczy.

— Niezła myśl! wyrzekł wreszcie.

— Byle prędzej kochany panie sekretarzu! zawołały i zaklaskwały radośnie profesorówny.

Sekretarz spojrział tylko na pannę Florentynę, uśmiechnął się i westchnął.

Rozpoczęła się narada, i posiedzenie nie rozwiązało się dopóki wszystko ułożonem nie zostało.

A naprzód lista wezwać się mających dam mianowicie, poddawała obszerny przedmiot do debatów. Bo to z piknikiem nie tak łatwa jak z balem sprawa. Piknikowe panie bowiem nie tylko odpowiadają za siebie samych, ale i za półmiski które znosić muszą.

— Ja zaraz pójde po wszystkich paniach, ozwał się sekretarz. Zaczne od Einnemerowej, chociaż mieszka najdalej.

— Einnemerowa! zawołała gospodyni domu, a przy-cisk głosu i skrzywienie twarzy nie bardzo za tą wizytą przemawiały.

— Zapewne! odpowiedział sekretarz, który snać zrozumiał profesorowę. Ale widziałem u niej gęsi wcale tłuste.

— Gęsi! zawołały radzące panie,

Einnemerowa została wpisana do listy, z adnotacją: Pieczona gęś.

I tak dalej kontynuowano, mając zawsze wzgląd na stronę pożyteczną. Majętna piekarka która w czwartej części należała do śmietanki towarzyskiej, reprezentowała chleb i bułki. Najtrudniejsza była sprawa z trunkami. Dyplomatyczny wszakże sekretarz rozwiązał tę trudność, przyrzekając że wstąpi do korzennego sklepu pana Imbirskiego, który posiadając córkę i piwnicę, zechce zapewne za pomocą piwnicy utorować drogę córce do tak świetnego towarzystwa.

— Ja z mojej strony! mówiła profesorowa uroczyście, daję lokal. Nasz pokój sypialny jest najobszerniejszy na całej ulicy;

— Zapewne! dodał sekretarz uśmiechnawszy się dowcipnie i zalotnie. I najpiękniejsze tancerki...

— Dodam nawet część oświecenia, a resztę...

— Pokryje dochód wstępnych biletów dla mężczyzn. Jakoż ustanowiono po długiej i gorącej debacie wstępną cenę po dwa cwancygiery od mężczyzn.

— O tancerzów nam się postaraj kochany sekretarzu! mówiły panny.

— Rozumie się; przedewszystkiem musimy wezwać pana Klemensa Marczaaka.

— Oczywiście! oczywiście! On musi być jako najzdatniejszy fortencer.

Pan Koper przyrzekł rekrutować tancerzy pomiędzy uczniami techniki, za pomocą pana Klemensa, który jako xtechnik mnogie między niemi ma stosunki.

Posiedzenie zostało rozwiązane.

III.

W pomieszkaniu profesorowej panował przez cały tydzień ruch niepospolity. Wynoszenia, przynoszenia, trzepania było co nie miara. Same skrobanie i mycie podłogi trwało dni kilka. Biedna Kasia służąca, grubopłaska podołanka, przeklinała z ruska i z polska tego przekłętęgo piernika, którego się pani i pannom tak bardzo zachciało,

Profesorowa i profesorówny biegaly co niemiara to do sklepów po różne przybory tualetowe, to do przyjaciółek i znajomych aby się nagadać i nachwalić, i roznieść co prędzej po całym mieście sławę przyszłego piknika.

Przyszedł nareszcie dzień wielki, dzień stanowczy. Od rana wrzało jak w garku w pokojach profesorowej. Wszyscy naraz gadali, krzyczeli; nikt nikogo nie słuchał, nikt nic nie rozumiał, ale mimo to przygotowanie do balu coraz się więcej wywijalo z chaosu.

Pod wieczór, ktoby był szedł tą ulicą zdybałby procesją ciekawą. Po śliskim trotuarze przesuwaly się z wolna i ostrożnie postacie mniej więcej jednostajnie zakwefione w chustki kraciaste, z węzłkami, różnej objętości w rękach.

To były służące niosące od swych pań gotowe już półmiski rozmaitych potraw. Gospodyni i panny w pół ubrane odbierały półmiski, ciekawymi oglądając je oczami, przy czem nie brakowało na krytycznych uwagach.

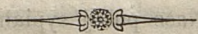
Najsmutniejszy wyszedł na tym przeglądzie półmisek pani komisarzowej. Półmisek był ogromny, prawdziwe *in folio* półmiskowe, a na nim:

— Cóż to takiego? zawołały wszystkie panie patrzące, i szyderczym parsknęły śmiechem.

Na nim niknął torcik chociaż lincki niby, ale w najmniejszej dwunastówce, jaką mógł kiedy pasztetnik wydać na świat.

Na środku miniaturowego torcika styrowała samotna mikroskopiczna skórka pomarańczowa cienkim ogonkiem do góry odwrócona, przedstawiająca całe konfiturowe przystrojenie tortu.

C. d. n.



Kilka słów o bibliotece Raczyńskich w Poznaniu.

— Nie wszystko złoto co się świeci.

(Stare przysłowie.)

Ciąg dalszy.

Prócz skupywania białych kruków z czasów Zygmunto-wskich, lub rękopismów z czasów Jana Kazimierza i Sasów, spada jeszcze na biblioteki publiczne zaszczytny ciężar trzymania, że tak powiem, za puls dziejów teraźniejszości i gotowania dokładnych i kompletnych materiałów dla przyszłych generacji. I tak n. p. w danym czasie należało według naszego wyrozumienia rzeczy, dla zadosyćuczynienia woli założyciela, pragnącego przede wszystkim dla biblioteki zbiorów, interesujących narodowość mieszkańców W. ks. Poznańskiego zaopatrzyć się w gazety Prus południowych, Gazetę Poznańską z czasów księstwa Warszawskiego, poświęcić wreszcie dla utrzymania ciągu rzeczy 24 złp. rocznie na Gazetę W. ks. Poznańskiego od roku 1815 i inne dłużej i krócej wychodzące u nas pisma polityczne. Podobnie mieliśmy prawo wymagać od biblioteki wszelkich innych czasopism poznańskich z bieżącego wieku, wszelkich pism i broszur, tyczących się wewnętrznych spraw W. ks. Poznańskiego i Wielkopolski, coby się tem łatwiej było dało uskuteczyć, iż biblioteka ma prawo bezpłatnego żądania wszelkich druków, wyjąwszy gazet, w obrębie prowincji wychodzących. Koszt byłby nader mały, pożytek dla publiczności niesłychanie wielki.

Przegląd jednej gazety Prus południowych n. p. zawiera tyle ciekawych, a zapomnianych całkiem o tej niedawnej epoce szczegółów, daje tak wierny i tak wyraźny uśposobienia moralnego i umy-

ślowego owych czasów obraz, iż każdy rozumiejący należycie zadanie swe, zarząd biblioteczny polski a zwłaszcza poznański, nie powinien był spocząć ażby tak drogocennego materiału do owych szaf nie był dostał. A wreszcie cóż naturalniejszego, jak że dziś, za kilka lub kilkanaście lat, wśród ogólnego popędu do prac monograficznych na polu historii, powźmie ktoś myśl pisania dziejów politycznych, lub literackich Poznańskiego, bo czyż wreszcie może być coś bliżej obchodzącego narodowość mieszkańców Wiel. Ks. Poznańskiego! Taki pisarz szczęśliwy myślą, która mu noc przyniosła, skieruje naturalnie, doczekawszy się godziny piątej wieczorem, kroki swe ku wspaniałemu gmachowi bibliotecznemu, z kieszeni pełną papieru i z głową pełną nadziei, otworzy skrzypiące podwoje czytelnicy, a przystąpiwszy do bibliotekarza lub murgrabiego, poprowadzi z miną, na której się straszne *decrecendo* nadziei i oczekiwań malować będzie, następną rozmowę:

— Czy macie panowie gazetę Prus południowych?

— Nie mamy.

— A gazetę Poznańską z czasów Księstwa Warszawskiego?

— Nie.

— A gazetę Wiel. Ks. Poznańskiego od r. 1815?

— Nie.

— A Weterana Poznańskiego z r. 1825?

— Nie.

— A pismo miesięczne Prus południowych?

— Nie.

— A pismo miesięczne Poznańskie z r. 1852?

— Żałujemy że papu służyć nie można, ale możebyś czego innego potrzebował?

Wtedy czas wreszcie, aby i z ust dotychczas uporczywie pytającego, kateryczne *nie*, a po niem *dobra noc i przepraszam* nastąpiło! Rozbijaj się teraz niefortunny autorze po różnych sklepach i dziurach żydowskich, żebrz w najrozmaitszych kątach materiałów, a gdy u antykwarza Lissnera będziesz płacił grube pieniądze za pisma miesięczne Prus południowych lub *Weterana*, pocieszaj się jaśniejącym z naprzeciwnika w promieniach słońca złotym napisem: *Biblioteka Raczyńskich*, i cyfrą, 30.000 tomów prócz rękopismów!

Na koniec wieńcząc dzieło nadmienię tu jeszcze należy, że wszystkie wymienione przez nas wyżej pisma, których posiadaniem biblioteka po zycie się nie może, wychodziły z jednym wyjątkiem gazety Prus południowych w ciągu bieżącego wieku, a więc nie były tak trudne do nabycia, a dalej że wszystkie wychodziły w murach miasta Poznania, w języku polskim, i choćby dla tego obchodzili nas tylko mieszkańcy W. Ks. Poznańskiego.

III. Zarząd wyższy biblioteki czyli kuratorja.

Zapał nasz w rozdziale przeszłym uniósł nas za daleko, choć niech łaskawy czytelnik z tego wstępu nie wnosi, że się w poczuciu winy naszej, i z miną pokutującego grzesznika na cześć kuratorji bibliotecznej pobożnie w piersi bić będziemy. Powtarzamy wszakże raz jeszcze, iż nas zapał za daleko uniósł, bośmy nie czekając właściwego miejsca, już pod rubryką księgozbioru znaczną część tego wypowiedzieli, cośmy sobie według rozkładu naszego tutaj dopiero umieścić zamierzili. Naturalnem z tąd następstwem, że im szersze były uwagi nasze o zarządzie bibliotecznym wyższym w rozdziale przeszłym, przybiorą tem szersze rozmiary w obecnym.

Za główną, jak już powiedziano, wadę w postępowaniu zarządu biblioteki, uważamy owo wyłączenie publiczności do wszelkich spraw, owo równie pracowite jak nie potrzebne zakrywanie się jakąś zasłoną tajemniczości. Szkody wypływające z podobnego postępowania, wykazaliśmy już wyżej pod pewnym względem. Tutaj pozostanie nam krótka i łatwa praca dowodzenia, jak dalece *zasada* podobnego systemu postępowania jest fałszywą i nieodpowiadającą wymaganiom i potrzebom czasowym.

Tak nie podlega wątpliwości, że najważniejszym zasobem biblioteki po książkach i źródłem, z którego żyje i z którego się rok rocznie zwiększa, jest jej posag. Publiczność poznańska, która codziennie na bibliotekę Raczyńskich spogląda, i która wie doskonale, że ten piękny gmach ze złotymi literami i 30.000 tomów, dostał jej

sie kiedyś w prezencie od ś. p. Edwardsa hr. Raczyńskiego, zastyszała też coś naturalnie i o wyposażeniu biblioteki. Ciekawszy zajrzawszy do aktu donacyjnego, dowie się o kapitałach ruchomych i nieruchomych biblioteki, o ich ulokowaniu, ilości, przeznaczeniu w r. 1829, ale co cię z finansami biblioteki od tego czasu do dziś dnia działo, na co były używane, jak administrowane, czy czasem ich losy nie wpłynęły na losy samej biblioteki, czy n. p. czasem i dla czego nie przerwały w niej normalnego biegu życia, o tem wszystkim dowiaduj się publiczności z opowiadań i posłuchów. boś z posiadzeń z kuratorji wyłączona, bo księga protokołów zamknięta dla ciebie, fraszka czartowska księga Twardowskiego w akademii Krakowskiej; bo nareszeie w todze i koturnie krocząca kuratorja nie uważa za rzecz potrzebną uwiadamić cię o tem, co się z twą własnością dzieje. A otóż tutaj właśnie przychodzimy do punktu, z którego by na kuratorję główne pociski kierować należało.

Strzeż nas Boże, bądź to członkom pojedynczym, bądź też *in corpore* zarzucać kuratorji niesumieuność, niedbalstwo, a choćby nawet tylko nieogłędność w administracji funduszków bibliotecnych. Chodzi tutaj o wecale co innego.

Któż jest właścicielem biblioteki i jej posagu? Według aktu donacyjnego niewątpliwie gmina miasta Poznania. Czemu jest w obec tego właściciela, kuratorja biblioteki? Naturalnie niczem innym, jak odpowiedzialnym za swe kroki i zobowiązany do ścisłego i regularnego zdania sprawy z zarządu.

(C. d. n.)

Rozmaitość.

* **Ze Stanisławowa.** Jesteśmy tu jeszcze wszyscy pod wpływem uczuć jakież sere naszych wyczarował nasz młody mistrz Nikodem Biernacki, który raz po raz występował w dwóch koncertach. Słyszeliśmy już nie jednego ze sławniejszych skrzypków, ale żaden z nich nie wzbudził tak żywego i szczerzego zapału. I nic dziwnego! W innych podziwialiśmy mistrzostwo skrypcowej techniki, mistrzostwo sławnych kompozycji, a w grze Nikodema Biernackiego przeważa mistrzostwo ducha muzycznego, którym każda struna zda się być natchniona, gdy z pod smyczka dobywają się tony, przebiegające lotem błyskawicy, całą skalę uczuć, od najwznioślejszych, aż do najrzewniejszych. A cóż dopiero, gdy tony te zaczęną się łączyć w pełną dla nas treści rodzinną harmonją, w której każdemu zaśpiewają wszystkie najdroższe mu nuty, jakie mu śpiewały przy kolebce, przy godach weselnych, jakie się błakają po szerokich łanach naszych, pamiątkami przeszłości naszej, pamiątkami wszystkich naszych myśli i pojęć. Rozbiór szczegółowy jego gry wymagałby umiejętniejszego pióra; ja tylko oddać mogę wrażenie ogólne, jakie na nas sprawił zadziwiającą siłą, uczuciem i wyższym polem, które stanowią główną cechę jego talentu. Zgromadzenie, a było ono bardzo liczne, bo na wieść o koncercie naszego utalentowanego ziomka zjechali się obywatele z Tarnopolskiego, z Czortkowskiego i z Kołomyjskiego, poklaskiwało z najszczerzym zapałem artyście, którego wszyscy przyjmowali nie tylko w sali, ale i w prywatnych domach z serdeczną gościnnością. Na początku lutego wyjeżdża pan Biernacki do Czerniowic, gdzie go już naprzód uprzedziła zapewne słusznie zasłużona sława.

* Już często robiono u nas spostrzeżenie, jak dziwnym, często fałszywym, a często przesadnym sposobem pojmują cudzoziemcy wszystkie nasze stosunki. Wiele by się dało napisać na naganę tego, ale nie mało i na pochwałę, bo tylko silne w sobie narody zapatrują się na inne ludy ze stanowiska własnych swoich stosunków. Takim sposobem pogląda zachodnia Europa na nasze dzieje, stosunki i literaturę. Rzadko chce się jej poznać dokładnie ten przedmiot, a rzadziej jeszcze obejdzie się bez przesady. Chcemy tu zwrócić uwagę tylko na sposób, jakim cudzoziemcy pojmują nasze kobiety. Itak niedawno czytaliśmy w pewnym niemieckim dzienniku następujący sąd o solkach: „Sarmackie kobiety są ozdobione prawdziwie czerkieskimi wdziękami, lecz często odręczają niedopity jeszcze pubar rozkoszy, aby chwycić za oręż bohatera lub za pióro dyplomaty.”

Wecale pochlebny to sąd, lecz jak się nam zdaje, nie zbyt słuszny. Mamy wprawdzie Platerównę i Klandję Potocką, lecz są to wyjątki. Chateaubriand mówi o Polce: „Jest to Ewa niewinna i upadła, niewiedząca o niczem i wiedząca wszystko, dziewica razem i kochanka.” Toż samo dziwaczne zestawienie antytez daje nam i Liszt w biografii Chopina: „Polki to boskie koteczki, hujne razem i skąpe, demoniczne i powabne”.

Podobnie i Balsac charakteruje Polkę: „To anioł miłością, a demon fantazją; dziecię wiarą, starzec doświadczeniem, męszczyna mózgiem a kobieta sercem!” Niewiem, czy nagromadzenie podobnych przeciwstawięń może dać rzetelne jakie a jasne wyobrażenie o naszych dziewczicach. Nadto im zwykle dają męskich przymiotów, nadto intryganckiego i dyplomatycznego ducha. To też i w świeżo wyszłej komedji p. Gozlan: „Le Gateau des Reines“ znajdujemy podobny typ polski; jeden tylko Louyet w osławionej swojej powieści: Gil-Blas, stworzył biały, czysty charakter Polki, jaki się nieraz zdarzy nam spotkać w cichym, wiejskim dworku szlacheckim.

* **Spuścizna Kepplera.** Jeden z najsławniejszych uczonych europejskich i pierwszych astronomów, Abraham Keppler, gdy zakończył swój żywot tak głośny i sławiony, zostawił po sobie 22 talarów, jeden surdut i dwie koszul.

* **Płacz zabawą.** W czasie zapust, gdy damy nasze po balach, redutach i koncertach chodzą i o polce tremblante marzą, pisze jeden misjonarz z nowej Zelandji o zwyczajach i obyczajach tamtejszych kobiet, i o rozrywkach tychże. „Główną rozrywką, mówi autor”, kobiet tutejszych jest płacz. Płaczą one tak szczerze i serdecznie, że każdy który tam przybędzie, myśli, że je Bóg wie jakie nieszczęście spotkało! Przytem zalamują ręce jak w rozpacz. Do tego ubierają się wytwornie, głowę stroją w kwiaty. Dla płakania umyślnie w tym celu zbierają się razem, a zgromadzenia płaczliwe tak cenią wysoko, że ich z tą samą niecierpliwością wyglądają, jak nasze damy zabaw i balów.

Nowiny lwowskie

* **Otwarcie obrad publicznych w sprawach karnych we Lwowie.** Wiadomo czytelnikom naszym iż z organizacją sądownictwa, przeprowadzoną w Galicji we wrześniu zeszłego roku, zmieniono postępowanie sądowe w sprawach karnych. C. k. prokurator występujący jako oskarżyciel, adwokat jako obrońca obżałowanego, sędziowie, zasiadający do zawyrokowania publicznie, nakoniec obżałowany i świadkowie powoływani, badani i przeciwstawiani sobie naocznie w obliczu zgromadzenia słuchaczy, oto są ulepszenia ważne, dające najsilniejszą rękojmię gruntowności i sprawiedliwości orzeczeń sądu karzącego.

Obrady te, jako wynik nowego postępowania, wprowadzono w mieście naszym w życie z dniem 29go Stycznia r. b. Posiedzenie otwarto o 9tej godzinie przy zgromadzeniu złożonem około 60 osób.

Pod osądzenie przyszedł Izraelita S. A. obwiniony o kradzież 110 zł. reń, z pugilaresem. Kradzież spełnioną była nader zręcznie przez wyciągnięcie pularesu z bocznej kieszonki surduta. Obżałowany, lat trzydzieści mniej więcej jleżący po wielokrotnie za kradzieże karany, bronił się jak mógł najrzęczniejsz, używając wszelkich środków wymowy i zastraszając się wszelkimi możliwymi wybiegami.

Posiadanie banknotu 50 reńskiego, z kradzieży pochodzącego i inne okoliczności walczące przeciw niemu, aż nadto dowodziły winy jego, dla tego też skazany został na lat 7 ciężkiego więzienia. Obrady trwały od 9tej rano, do wpół do 9tej wieczorem, z małą przerwą, więc blisko przez 11cie godzin. Cały proces był niezmiernie interesujący i aż do końca zaostrzał ciekawość słuchaczy.

Jeden nadto epizod ożywił to zajęcie, a to przez doraźne osądzenie świadka jednego na 6 miesięczne więzienie, za to iż dopuścił się podczas wysłuchania go oszustwa, przez złożenie fałszywego zeznania na korzyść obwinionego, a który to fałsz w zeznaniach od razu onemuż zarzucony i za udowodniony, przez sąd uznany został. Tak nagły i szybki wymiar sprawiedliwości będzie hamulcem na przyszłość dla świadków podstawionych i fałszywych. Nazajutrz w

dniu 30. z. m. i r. zawyrokowano trzy osoby w trzech sprawach kradzieży, wszystkie wyroki zapadły na zasadzie własnego przyznania się obwinionych. Jeden z tych obciążonych skazany został na rok więzienia, za usiłowanie dokonania kradzieży skóry krowiej, wartości 7 złr.

Wysłuchanie ustne wśród publicznych obrad, będąc odtąd ciągle z pewnymi przerwami dni, a to w miarę przybywających spraw pod osądzenie.

* W zeszłym tygodniu dwóch braci rodzonych w jednym i tym samym prawie czasie, smutnemu podlegli wypadkowi. Jeden z nich dostał pomieszaną zmysłów, a drugi powiesił się. Powodem dla obydwóch były jak powiadają nieszczęśliwe stosunki domowe.

* Dzisiaj i jutro bal maskowy. O godzinie 11tej ukaże się pochód maskowy. We wtorek ostatnia reduta, nazwana Nobel-Bal z podwyższonemi cenami, przy nadzwyczajnem rzesistem oświetleniu.

* **Środowa reduta** wypadła bardzo świetnie. Nie było wprawdzie wielkiego tłoku, ale było za to towarzystwo dobrane, były ładne i charakterystyczne maski i wesoło się bawiono.

* **Konkursa.** Posada komisarza cyrkularnego w okręgu władzy administracyjnej w Krakowie z pensją 900 złr. termin podania do końca lutego. W okręgu dyrekcji finansowej krakowskiej posada kasjera z pensją 700 złr. termin podania do 20go lutego. Posada poborcy przy urzędzie cłowym w Chełmku z pensją 600 złr. termin podania do 8go marca. Posada woźnego przy dyrekcji żup solnych w Wieliczce z pensją 300 złr. termin podania do 15go lutego. Posady aktuarjuszów przy urzędach powiatowych w Baligródzie i w Rymanowie z pensją 400 złr. m. k. termin podania do 16go lutego.

Przyjechali od dnia 30. Stycz. do 1. Lutego do Lwowa.

PP. Domaradzki Seweryn, ze Stanimierza. Vogel Franc., ze Strussowa. Rodziewicz Ant., z Horyhladów. Ryński Leopold, z Horyhladów. Sozański Franc., z Białoskórki. Sozański Wincenty, z Grabowiec. Radoszewski Alex., z Packowiec, Hr. Łoś Jan z Dmytro-wieć. Laskowski Maks., z Lipnik. Duniecki Józef z Krakowa. Zbyszewski Wik. Dr., z Krakowa. Dr. Reyner Fel. z Laszek. Lewandowski Ludwik, ze Stanisławowa. Wisłocki Marc. z Kopeczyniec. Krzyżanowski Fel., z Stachnykowiec. Br. Heidel Stanisł. z Chmielowiec. Zarzycki Tytus, z Chotylub. Chyliński Marian z Rakowa. Ziembicki Grzegorz, z Podhajec. Perelli Wilh., z Arłamowskiej woli. Gering Franc. ze Stryja.

PP. Paporowie Władysław i Stanisław, z Mchany. Rodkie-

wicz Sew., z Łukawicy. Czerkawski Ludwik, z Meryszczowa. Krzy-ształowicz Jan, ze Żabna. Dobrzyński Stanisł., z Kolpiec. Gasperski Marceli, z Woli. Bartoszyński Miecz., z Marjampolu. Hajecki Adolf, z Krakowa. Galotzy Piotr, z Michałowice. Czajkowski Hipolit, z Boberki.

Wyjechali od dnia 30. Stycz. do 1. Lutego ze Lwowa.

PP. Wierzbowski Józef, do Mogielnicy. Gumowski Wiktor, do Bereźnik. Krukowiecki Felix, do Budzanowa. Wieniarski Edward, do Podhorec. Rakowski Jan, do Tarnopola. Hr. Mniszek, do Kopeczy-niec. Żółtowski Jan do Manasterzysk. Bielawski Karol, do Nehryb-ka. Wondraczek Rudolf, do Przemyśla. Rychalski Felix, do Kupca. Orzechowski Walenty, do Kamionki. Białobrzęski Stan. do Dziedziło-wa, Ziętkiewicz Wiktor, do Sopszyna.

PP. Strzelecki Jan, do Kuzkowa. Komarnicki Jan, do Magie-rowsa. Kossak Emil, do Krechowa. Ryłski Eustach. do Dłużniowa. Guskowski Marcin, do Brzeżan. Maléwicz Deodat, do Kamionki. Witosławski Bron. do Wojciechowiec. Ruziczka Ant. do Czerniowiec. Domaradzki Sew. do Stryja. Onyszkiewicz Rudolf, do Lisiatycz. Krie-del Jan, do Stryja. Strutyński Józef do Lackiego.

Kurs telegrafowany z Wiednia 31. b. m. o g. 2. popołud.			
Augsburg za 100 złr.	107 1/8	Pożyczka 5%	85 1/8
Hamburg za 100 tal. banco	77 1/8	Akcyje banku	103 8
London za 1 funt szterl.	10.26	Kolej północna	2400
Medyolan za 300 lirów	107 1/2	Obl. ind.	78 1/2
Paryż za 300 franków	124 1/8	Nowa pożyczka z loteryj	105 1/4
Agio duk. ces.	11 3/4	Pożyczka narodowa	86 3/8

Wczorajszy	Kurs Lwowski	Gotówka	towarowa
Dukat holenderski	złr. 4	kr. 58	złr. 5 kr. 3
Dukat cesarski	5	—	5 " 5
Półimperyal zł. rosyjski	8	33	8 " 42
Rubel papierowy	1	35	1 " 36
Rubel srebrny rosyjski	1	39	1 " 41
Talar pruski	1	33	1 " 36
Polski kurant i pięćzłotówka	1	12	1 " 13
Galicyskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	88	30	89 " —
Galicyskie obligacje indemnizacyjne bez kuponu	76	30	77 " 30
5 proc. pożyczka narodowa	86	—	87 " —
Srebro	108	—	109 " —

Lwów, 30. z. m. Na dzisiejszym targu płacono korzec psze-nicy ozimej po 20 złr. — kr. do 30 złr. 15 kr. — Żyta po — złr. — kr. do — złr. — kr. Jęczmienia po — złr. — kr do 13 złr. 45 kr. Owsa po — złr. — kr. do 11 złr. — kr. Grochu po — złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po — złr. — kr. do — złr. — kr. — Ziemiaków po — złr. — kr do — złr. — kr. Sąg drzewa bukowego — złr. — kr. — do złr 7 kr. Sosnowego po — złr. — kr. do — złr. — kr. Cętnar siana 2 złr. 5 kr. do 2 złr. 22 kr. — Cętniar słomy 1 złr. 55 kr. do 2 złr. 22 kr. w. w. — Garniec — stopniowej okowity bez opłaty — Złr. — kr. do — złr. — kr. w. w.

Podajemy niniejszem do wiadomości, iż mamy zaszczyt prowadzić interesa ajencji najslynniejszego i w ces. kr. państwie austriackiem najstarszego zakładu zabezpieczającego, noszącego firmę:

C. k. uprz. AZIENDA ASSICURATRICE w Tryeście,

którego dla krótkości, także tylko głównem firmy słowem „AZIENDA“ nazywają.

Ze zakład zabezpieczający „AZIENDA“ zwany, który nietylko od ognia ale też od gradobicia a to z zapewnieniem zupełnego wynagrodzenia szkody assekuje, tudzież wszelkie zabezpieczenia na życie czło-wieka udziela, obowiązkom swoim z wyszczególnieniem czyni zadosyć i P. T. publiczność zabezpieczającą się jak naj-liej zadawalnia, nie potrzebnem byłoby to wywodzić: bo to wyrzeka zewsząd głos publiczny, my tu tylko wyrażamy naszą gotowość służenia P. T. interesowanym zawsze w duchu rzeczonoego zakładu, i najuprzejmiej zapraszamy do asse-kurowania się za naszym pośrednictwem.

Ośmielamy się także tu zrobić tę uwagę, że w adresach i deklaracjach do zabezpieczeń nie dosyć jest wy-razić „Assekuracja Tryestyńska“ albo „Ajencja Assekuracji Tryestyńskiej,“ coby łatwo spowodować mogło, żeby kore-spondencja do „Aziendy“ zamierzona, w ręce ajenta innego zakładu się dostała; ponieważ kilka z zakładów Try-jestyńskich w naszym kraju agujących istnieją, z których jednak każdy własną nosi firmę.

Tarnopol w Styczniu 1856.

Cyprian Latinek i Franciszek Stankiewicz,

Ajenci.

G. 32. 3—6.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyę: H. W. Kallenbach.

Z drukarni E. Winiarza.